

o. Adam Czuszel OSPPE

NOE kontra **Mabbul**

przeciw upadkowi
i zepsuciu



paganini

NOE kontra Mabbul



„Urielowi, Dorocie i rodzinie z Małej Łąki,
dzięki którym, w dużej mierze,
te rekolekcje zostały spisane.”

Rysunek na okładce: *Noe*
Augustyn Pelanowski OSPPE

Projekt okładki, skład i łamanie:
Anna Smak-Drewniak

Korekta:
Barbara Gąsiorowska-Panek

© paganini 2018
© o. Adam Czuszel OSPPE 2018

ISBN 978-83-89049-76-6 druk
ISBN 978-83-89049-77-3 pdf
ISBN 978-83-89049-78-0 epub
ISBN 978-83-89049-79-7 mobi

paganini

Księgarnia internetowa:
www.paganini.com.pl

Dział handlowy:
dystrybucja@paganini.com.pl
tel.: 577 134 277

o. Adam Czuszel OSPPE

NOE kontra Mabbul

przeciw upadkowi
i zepsuciu

W P R O W A D Z E N I E

o. Augustyn Pelanowski

Ojciec Adam jest moim przyjacielem, a słowa przyjaciela są jak pneumatyczna tratwa *dinghy*, która w czasie wojny ratowała zestrzelonych nad oceanem lotników. Można się było cieszyć w ciasnej *dinghy*, że się jest uratowanym, i jednocześnie, obserwując tonący wrak samolotu, czuć się przegrany w powietrznej walce. Niezwykle ambiwalentne uczucie: być uratowanym, by obserwować katastrofę. Przeczytałem tą książkę z uczuciami, które dają się wyrazić tylko oksymoronami – radosny smutek, kojący ból, obnażenie zwracające wstyd.

Czy jednak można się cieszyć ze zbawienia, gdy się widzi, że inni toną? Jezus nie miał radości z chodzenia po wodzie, dopóki nie wyciągnął z paszczy fal tonącego na jeziorze Piotra. Tak myślę...

Ile kosztuje zbawianie?

Przypomina mi się historia okrętu „Wilhelm Gustloff” płynącego z uciekinierami wojskowymi i cywilami z Gdyni do Kilonii i Flensburga.

Wieczorem 30 stycznia 1945 roku, na Morzu Bałtyckim, został on storpedowany przez sowiecki okręt podwodny S-13. Płynęły na nim tysiące uchodźców z Prus Wschodnich i Pomorza. Każdy metr statku był zajęty przez pasażerów. Jednak na ich twarzach widać było radość, mieli nadzieję, że zdołali wyrwać się z piekła. Większość z nich zapłaciła fortunę, by wykupić choćby najnędzniejsze miejsce. Gdy torpedy sowieckie uderzyły w statek, rozległ się jęk wyginanego kadłuba i wycie ludzi, krzyki i płacz, a także wołanie do Boga. Na morzu szalał mroźny sztorm, przenikliwy wiatr chłostał ludzi wydobywających się na pokład. Panowała noc, padał śnieg, ludzie tonęli, niektórych wyrzucano z szalup, inni na darmo wyciągali ponad wodę ręce. Większości nikt nie uratował, zbyt wielu było tonących. W jedną noc, radość wybawienia zamieniła się w rozpacz katastrofy. Jakby zostali okradzeni z życia. O katastrofach się zapomina, nie chce się nawet ich prawdopodobieństwa dopuścić do myśli, są raczej tematami filmów, które się ogląda, konsumując popcorn w wygodnym fotelu kina. Czy będą czasy, kiedy ktoś zrobi dokumentalny film o widzach kinowych sal oglądających katastroficzne ekranizacje, którzy nagle zatonęli w niespodziewanej zagładzie?

Dlaczego katastrofa?

Ojciec Czuszel cytuje słowa Psalmu 42.: „Głębia przyzywa głębię” (Ps 42,8),i pisze: „*Tak, moja głębia nieprawości, przyzywa głębię miłosierdzia Bożego*”. Ale pozwolę sobie dopisać: głębia grzechu, grzechu ukrytego, nieuznanego i niewyznanego przyzywa inną głębię, głębię otchłani. Ojciec Czuszel wskazuje palcem tuszowane nieprawości, niekiedy boleśnie i irytująco, ale najważniejsze, że prawdziwie. Jest niewygodny. Uwierać będą jego słowa szczególnie tych, którzy mają duże dywany służące nie do ozdoby, ale do podmiatania pod nie śmieci. Pisze: „*Zanim nadszedł potop, Biblia mówi, że ziemia uległa skażeniu wobec Boga i napełniła się gwałtem. Zwróciłem uwagę na stwierdzenie: wobec Boga. Można to też tłumaczyć: przed obliczem Boga. Księga Rodzaju nie podaje, że ziemia uległa skażeniu, bo to by mogło sugerować rzeczywistość powszechnie dostrzegalną. A przecież ten fakt nie był znany wszystkim, nie był może znany nikomu, oprócz Noego*”. Wszyscy jesteśmy zaprawieni w niezauważaniu swego sumienia, im usilniej dbamy o to, by się pokazać innym; im bardziej jednak taimy zło w sobie, tym bardziej staje się ono widoczne przed Obliczem Boga.

Ilekróć czytam książki rozczulające się nad złem tego świata, doznaję rozczarowania, ponieważ poza jeremiadami nie ma w nich pocieszenia. Ale tym razem, po potopie zapisanych słów, zobaczyłem

Ararat z arką – górę Pańską wznoszącą się ponad innymi, a na niej Maryję. Szczyt Araratu do dziś znajduje się na Wyżynie Armeńskiej niedaleko jezior Wan i Sewan, wznosząc się ponad pięć tysięcy metrów nad poziom morza, bieląc się niepokalającym śniegiem. Nazwa nie jest hebrajska, ale komuś, kto zna ten język, przychodzi na myśl słowo ARAR, czyli *przekleństwo*, i może skojarzyć wybawienie Noego z przeklętego świata dzięki okrętowi skonstruowanemu z unikatowego drewna GOFER. Arką jest Maryja, choć zarówno święty Hipolit Rzymski, jak Orygenes czy święty Augustyn widzieli w niej obraz Chrystusa i Kościoła. Świat jest ciągle zalewany ohydą grzechu, ciągle jesteśmy podtapiani niegodziwością, a na ulicach ludzie przeklinają, nawet dla rozrywki i zaimponowania innym.

Nikt się dziś już publicznie nie pozdrowia błogosławieństwem typu: „Szczęść Boże”. Ludzie w ukryciu czynią znak krzyża, mijając kościół albo wsiadając do pociągu.

Czas jest względny - to truizm, ale na pewno nasz czas ma swoisty, kurczący się przebieg, obserwuje się w naszej epoce jakieś zintensyfikowanie znaków zapowiadających katastrofę. W tej chwili nie chodzi o to, że zniknie jakiś naród, lecz zagrożona jest cała ludzkość. W linii CHRONOS, czyli zwykłego monotonnego czasu, pojawiają się coraz częściej punkty KAIROS, czyli oznaki wyjątkowej

interwencji Boga, chwile, które nazwałbym szansą zbawczą wobec szalejącej otchłani. Ktoś powstrzymuje wściekłość zła, niczym tama w górach, która wzbiera w sobie żywioł piętrzący się niebezpiecznie, jakiś KATECHON, by dać nam szansę na wieczny bezkres, przybliżając ESCHATON, który pozwoli spędzić pozaczasowość przy Bogu, a nie poza Nim.

Podczas Rzymskiego Forum Życia w 2016 roku, nie brakowało dyskusji nad gorącym tematem komunii świętej dla osób rozwiedzionych żyjących w ponownych związkach, adhortacji apostołskiej *Amoris Laetitia* oraz strategii obrońców życia i rodziny. Referat Johna Smeatona, wieloletniego działacza pro-life i prezesa brytyjskiego Society for the Protection of the Unborn, zrobił jednak na wszystkich największe wrażenie. Stwierdził on, że rzeź nienarodzonych to barbarzyństwo na niespotykaną w historii ludzkości skalę. Krew tych dzieci woła głośniej niż krew Abła z ziemi o sprawiedliwość. Ich krew mogłaby stać się rzeką, potopem zalewającym niejedną metropolię. Smaeton wezwał do odrzucenia ustępstw i usilnego dążenia do całkowitego zakazu aborcji. *Prawdopodobnie doświadczamy największej katastrofy w pisanej historii ludzkości* – przekonywał wówczas John Smeaton. Katastrofy? Tak katastrofy, a katastrofa to powódź, potop. *Według powściągliwych szacunków,*

od 1966 roku, na całym świecie, około 2 miliardy dzieci stworzonych na Boży obraz i podobieństwo, zostało zabitych wskutek aborcji. W samej Wielkiej Brytanii od 1990 roku, w związku z praktykami in vitro, unicestwiono 2 miliony dzieci w stadium embrionalnym. W całej historii ludzkości zginęło według historyków około miliarda osób. Ostatnie półwiecze skumulowało w sobie śmiertelność nasilenie zbrodni, jakiej nie znała cała historia. W tym samym okresie, wyzywająca edukacja seksualna zraniła niewinność dzieci. Młodzież ma dostęp do aborcji i antykoncepcji, a rządy państwowe przejęły kontrolę nad wychowaniem dzieci. Zastanówmy się: czy Bóg może to znieść? Czy może być obojętny na ten niemy krzyk miliardów dzieci zabijanych w łonach matek, tonących we własnej krwi? Jeśli teraz nie zareaguje, to za dziesięć lat tych zamordowanych będzie 4 miliardy, ponieważ po cichu zmienia się kwalifikacja grzechu aborcji – dawniej była to ekskomunika, teraz każdy kapłan może odpuścić ten grzech na równi z upiciem się alkoholem! Można tolerować taką hekatombę w imię Szatana? Czego więc mamy się spodziewać? Czy tego, że cała ta krew wybuchnie wulkaniczną lawą i zaleje jedynie wszystkie kliniki aborcyjne? A może rozleje się szerzej, na tych, którzy byli obojętni na to, co tam się dzieje? Czy krzywdy pozostaną bez odpłaty?

Jeśli ktoś rozsądnie myśli, będzie szukał nie tylko sposobów uratowania niewinnych dzieci albo ekspiacji za taką rzeź, ale też będzie szukał arki, w której nie tyle życie doczesne, ale nade wszystko – wieczne, będzie uratowane. Arka Noego jawi się, jako łono, w którym można się czuć absolutnie bezpiecznym, jak embrion. W niej jesteśmy poza zbrodnią i poza skalaniem. Arka to Maryja. W Niej jesteśmy bezpieczni, jak sam Jezus, w Niej stajemy się Nim. Dlatego o. Czuszel wskazuje Ją jako nadzieję na beznadziejność położenia, w jakim znalazł się świat.

Mamy zadziwiającą intensyfikację objawień maryjnych w ostatnich dwu stuleciach. Pierwszym objawieniem maryjnym, o którym wspomina historia chrześcijaństwa, jest to, którego świadkiem miał być Grzegorz Cudotwórca (213–273). Maryja ukazała mu się w towarzystwie Jana Ewangelisty, któremu nakazała wyjaśnić zagadnienia dotyczące tajemnicy Trójcy Świętej. Przez kilka kolejnych stuleci objawienia maryjne były rzadkie, naliczono ich zaledwie około trzydziestu. Ale już w XII wieku liczba ich wzrosła do 275, a w XIV wieku wyniosła 6131. Relacje z tych objawień nie były jednak zbyt wiarygodne i większość nie została potwierdzona przez Kościół. Najbardziej znanym z przeszłości jest objawienie z Guadalupe, które miało miejsce w 1531 roku. Maryja ukazała się Indianinowi jako

brzemienna Panna. To znamieny znak, ciąża! W XIX wieku liczba objawień nagle wzrosła, ale Kościół w większości przypadków nie potwierdził ich autentyczności, a nawet niektóre zakwestionował. XX stulecie stało się jednak wyjątkowe: mamy potwierdzone jako autentyczne objawienia w Fatimie, Beauraing, Banneaux, Akicie, Syrakuzach, Zeitoun, Manili, Betanii (Wenezuela) i Kibeho. Jest Jej coraz więcej i jest Ona coraz bliższa nam. Nikt nie musi budować promu ratunkowego, on sam się ujawnia spoza ulewy i ryku złowieszczonego tsunami.

Można oczywiście bawić się, jak skandynawscy seksturyści na plażach Indonezji, Sri Lanki i Indii i zostać zaskoczonym tsunami, jak zdarzyło się to 26 grudnia w 2004 roku, ale czy warto być po takich ostrzeżeniach na tyle spokojnym, by pozwolić sobie na bezmyślne przebywanie w salonach demoralizacji?

Wolę „trącić myszką” przy Chrystusie, niż prężyć się jak lew na salonie demoralizacji – napisał Czuszel. Oczywiście nie będę się zastanawiał, na ile idiom „trącić myszką” ma związek ze słowianym zapachem starego wina, którym jednak upił się Noe. Raczej interesuje mnie, przy lekturze książki *Noe kontra mabbul* unaocznienie jeszcze raz, po raz kolejny, w sposób oryginalny i nieściśnięty gorsetem poprawności literackiej, pewien schemat wybawczy, wypłynięcie ponad powierzchnię tego,

co zalewa naszą cywilizację. Chodzi o wypłynięcie w górę albo nawet zakotwiczenie na górze, ponad czeluścią. Jest to możliwe, według ojca Czuszeła, dzięki Maryi, w Niej, w kajutach modlitwy do Niej: *„Kim musiała być ta Kobieta, skoro Bóg Ojciec powierzył Jej swój największy skarb? Jakim cudem stworzenia była Maryja?”*.

W Niej wznosimy się ponad wszystko, co powoduje runięcie na dno. W Niej sam Syn Boży czuł się bezpiecznie w naszym świecie; w Niej każdy z nas może bezpiecznie wybić się w górę, na wyżyny w Chrystusie. Ona jest Arką Ocalenia. Przy lekturze Biblii, spotykamy się z podobnym poangleniem do ucieczki w góry, jedynie w sytuacjach przełomowych. W proroctwie Jezusa dotyczącym Jego paruzji (uobecnienia) zapisanym w Ewangelii Mateusza, w dwudziestym czwartym rozdziale, Chrystus, nakreślając horyzont zdarzeń, jaki będzie miał miejsce na końcu świata, wskazuje, **by uciekać w góry**.

Zatrzymam się nad tym **pójściem w góry**. Szukając dosłownego znaczenia Jego ostrzeżenia, znajdujemy odpowiedź w historii - Jezus przewidywał ucieczkę chrześcijan przed 70 rokiem do Pelli, miasta w skałach, znanego nie tylko archeologom. Ale w głębszym znaczeniu, podążając żydowskim tokiem myślenia, należy to odczytywać w zestawieniu ucieczki Lota przed zagładą z Sodomy w góry

z biegiem Maryi w góry do brzemiennej Elżbiety – w obydwu miejscach biblijnych pojawia się Gabriel, wykonawca sądu Boga.

A sięgając do Listu do Kolosan, otrzymujemy zrozumienie pójścia w góry: „Jeśli, więc razem z Chrystusem powstaliście z martwych, szukajcie tego, co w górze, gdzie przebywa Chrystus, zasiadający po prawicy Boga. Dążcie do tego, co w górze, nie do tego, co na ziemi. Umarliście, bowiem i wasze życie jest ukryte z Chrystusem w Bogu. Gdy się ukaże Chrystus, nasze Życie, wtedy i wy razem z Nim ukażecie się w chwale” (Kol 3,1-4).

Chodzi więc o jeszcze większą zażyłość z Chrystusem w czasach, gdy wiara milionów oziębnie. Nie ma już czasu, moim zdaniem, na zwlekanie; kto teraz odwleka zbliżenie się do Chrystusa, może żałować niebawem, że się urodził.

Katechizm zaś uczy: „Przed przyjściem Chrystusa Kościół ma przejść przez końcową próbę, która zachwieje wiarą wielu wierzących. Prześladowanie (...) odsłoni tajemnicę bezbożności pod postacią oszukańczej religii, dającej ludziom pozorne rozwiązanie ich problemów za cenę odstępstwa od prawdy. Największym oszustwem religijnym jest oszustwo Antychrysta, czyli oszustwo pseudo-mesjanizmu, w którym człowiek uwielbia samego siebie zamiast

Boga i Jego Mesjasza, który przyszedł w ciele” (KKK 675).

Istnieje więc arka i statek widmo. Można się pomylić, kupując bilet. Istnieje zbawcza przestrzeń i wabiący pozór zbawienia. Jest arka i antyarka, Chrystus i Antychryst, miłość i jej złudzenie, Niewiasta z dwunastego rozdziału Apokalipsy, ale też niewiasta z siedemnastego rozdziału objawienia Jana, Kościół i anty-Kościół.

„Biada nam, gdy nie głosimy Ewangelii, lecz próbujemy układać się z duchem tego świata” - pisze ojciec Czuszel. Istnieje prawda i jej pozór. Nie dać się oszukać! „Od wielu lat noszę nieodparte wrażenie, że ktoś mnie oszukuje. Że ktoś nie mówi mi całej prawdy, ale przedstawia mi prawdy rozmyte”. Oto czujność ducha, która nabiera ostrożności do wszystkiego, co oferuje świat nawet na brzegu pobożności i morza bezbożności.

„Będą okazywać pozór pobożności, ale wyrzekną się jej mocy. I od takich stroń” (2 Tm 3, 5).

Ów pozór – MORFOSIS – to powierzchowne podobieństwo do religijności bez wewnętrznej obecności Boga. Arcybiskup Fulton Sheen, pisząc o Antychryście, zwracał uwagę w swej proroczej intuicji, że jego religią będzie braterstwo bez ojcostwa Boga, będzie to pozór wiary, który zwiedzie nawet wybrańców. Antychryst założy anty-Kościół, który będzie naśladować Kościół. Anty-Kościół będzie posiadał wszystkie cechy Kościoła,

ale w wypaczonej postaci, będzie też wyzuty ze swej boskiej treści. Będzie on mistycznym ciałem Antychrysta, które z wyglądu będzie bardzo przypominać Mistyczne Ciało Chrystusa.

Wystarczy odwrócić kolejność przykazania miłości: kochaj siebie z całego serca, ze wszystkich sił, a bliźniego jak siebie samego, a Boga pozostaw sobie samemu, by już być wewnątrz tego okrętu widma.

Polecam lekturę książki wszystkim, którzy uważają, że nie ma już czasu ani na poezję ani na romanse czy kryminały, a nawet klasykę, a zastanawiają się poważnie nad zbawianiem siebie.

Kiedy Pan widział, że wielka jest niegodziwość ludzi na ziemi i że usposobienie ich jest wciąż złe, żałował, że stworzył ludzi na ziemi i zasmucił się. Wreszcie Pan rzekł: „Zgładzę ludzi, których stworzyłem, z powierzchni ziemi: ludzi, bydło, zwierzęta pełzające i ptaki podniebne, bo żałuję, że ich stworzyłem”. Tylko Noego Pan darzył życzliwością. Oto dzieje Noego: Noe, człowiek prawy, wyróżnił się nieskazitelnością wśród współczesnych sobie ludzi: w przyjaźni z Bogiem żył Noe (...). Ziemia uległa skażeniu wobec Boga i napełniła się gwałtem. Gdy Bóg widział, iż ziemia jest skażona, że wszyscy ludzie postępują niegodziwie, rzekł do Noego: Postanowiłem położyć kres istnieniu wszystkich ludzi, bo ziemia przez nich jest pełna gwałtu; zatem zniszczę ich wraz z ziemią. Ty zaś zbuduj sobie arkę z drzewa żywicznego... (Rdz 6, 5 n.)

W tamtych czasach nie było jeszcze Izraela. Syn Noego Sem dał początek Semitom, z których wywodzą się Hebrajczycy, a z nich wyodrębnił się Izrael. Jean Danielou nazywa więc Noego świętym poganinem. Jego imię w języku hebrajskim

tłumaczy się jako: odpocznienie (NOAH od NUACH – odpoczynek, osiąść). Szczegółowych informacji na temat jego życia, zachowań czy pracy Biblia nie podaje. Zostaje imię, które może nam na temat tego człowieka coś powiedzieć. Można by pójść po żartobliwej linii interpretacyjnej i zasugerować, że Noe lubił wypoczywać. Ale odpoczywać lubią wszyscy, choć nie wszyscy potrafią. A może był tym, który uczynił z wypoczynku sztukę lub był pełen tęsknoty za relaksującą inercją, marzył o *dolce far niente* na długo przed mieszkańcami Włoch? Odpoczynek nie jest lenistwem, to znaczy nie musi być nim być, bo jest konieczny, by normalnie funkcjonować. Sam Bóg odpoczął dnia siódmego, po stworzeniu świata. Są czasy i chwile, które wymagają od nas pozostawienia biegu spraw i stanięcia obok jak dyrygent, który słucha muzyków bez ruchu batutą.

Jednakże w kontekście odpoczywania dostrzegam pewną dysfunkcję związaną z tym elementem codzienności: nieumiejętność albo nawet niezdolność do niego. Oczywiście odpoczynek nie zawsze jest nicnierobieniem, czasem to nicnierobienie może zresztą być gorzkie i degenerujące, jako że kultura miliona bodźców wprawia człowieka w ruch (mam tu na myśli ruch umysłu), który działa chaotycznie, uniemożliwiając prawdziwy odpoczynek. Nie chodzi tylko o ciało, na które czeka mnóstwo relaksujących atrakcji w postaci sportu, saun,

masaży i tak nie lubianych przez papieża Franciszka kanap, otoman czy wersalek (swoją drogą, można by w Polsce użyć hasła postkrakowsko-światowo-młodzieżowego: *Wstajemy z wersalki!*, Francuzi zaś by powiedzieli: *Wstajemy z szezlongu*, i tak mielibyśmy prawdziwą inkulturację słów papieża, choć wersalka, jeśli jest od Wersalu, też przynależy do „szykowej” francuskiej kultury). O ciało się dba, to pewne w naszych czasach. Można niestety powiedzieć, że ciało i zdrowie stało się głównym bożkiem, idolem¹. Ale jak odpoczywa umysł? Jak odpoczywa serce? *All inclusive* na Korfu jako remedium na problemy? Troskami jednak obłożone jest nasze serce, a nie tylko czas i przestrzeń i może okazać się, że otwierasz walizkę w pokojowym, a problemy wyskakują i mówią: *Dzień dobry*. Próbujesz uciec, ale czy przed samym sobą możesz uciec? Wtedy zostaje bar z napojami typu „mózgo-trzepy” bez limitu. Zresztą picie „do odcięcia” dla wielu jest odpoczynkiem umysłu. Mam znajomego, który pracuje w jednym z lochów warszawskiego „Mordoru” na Domaniewskiej. Opowiadał mi ostatnio, że większość jego korpokoleżkowców tak funkcjonuje. No cóż. Odcięcie a odpoczynek to jednak nie to samo.

¹ Por. M. Lutz, *Szczęście w pigułce. Kiedy troska o zdrowie staje się chorobą*. Wydawnictwo M, Kraków 2008.

A co z literaturą? Spotkałem kiedyś w Warszawie tak zwanych młodych potentatów prawnicowego intelektu, którzy dzięki „dobrej zmianie” znaleźli zatrudnienie w... łatwo się domyślić gdzie. Otóż ci, którzy sami się określają jako warszawscy bon vivanci i chyba mają dość wysokie mniemanie o swoich rozumach, wiele czasu spędzają w rozedrganym sercu miasta. Z warszawskim przyjacielem, który zna ich lepiej, zastanawialiśmy się, kiedy ci młodzi „intelektualiści” mają czas, żeby dorzucać drwa słowa pisanego do pieca umysłu? Nie mam tu na myśli treści z Twittera czy portali internetowych. A może wcale nie mają czasu? Bo krążą uborem z miejsca na miejsce? W Polsce czyta się mało, tony literatury-makulatury zalegają księgarnie, coraz trudniej na tym wysypisku znaleźć coś wartościowego, a czasu na lekturę i amatorów lektury coraz mniej. Fajnie opisuje połączenie odpoczynku z czytaniem Andrzej Bobkowski w opowiadaniu *Alma: Po sutym obiedzie porozkładaliśmy się w cieniu i zaczęła się wolna, przedsjestowa pogawędka. Wyciągnąłem z plecaka kilka zabranych książek i rozcinałem jedną, dorzucając od czasu do czasu jakieś słowo do ogólnej rozmowy. Enrique zaczął znów ze mnie pokpiwać, że i tu, w tym rajskim otoczeniu, nie mogłem żyć bez zadręczania się książkami*².

² A. Bobkowski, *Zmierzch*. Biblioteka Więzi, Warszawa 2007, s. 47.

Odpoczywać, obcując z kulturą, odpoczywać, czytając? To na pewno bardzo rozwijające! Niestety, to sporadycznie występująca forma odpoczynku, coraz powszechniejsze jest nieczytanie i utyskiwanie nad tym – obecnie bowiem żywimy wręcz niechęć do słowa pisanego. A nawet jeśli zagłębieniu się w literaturę poświęca się kilka chwil, często są to chwile porwane. Nierzadko obserwuję, szczególnie w pociągach, jak ktoś wyjmując książkę, czyta dwie strony i zasypia albo wyjmuje telefon, a do książki już nie wraca. Inną sprawą jest poziom literatury – moim zdaniem, zdecydowanie nie eksperta, lecz zwykłego czytacza, odtwórczej, a zarazem, paradoksalnie, wykorzenionej z dobrej tradycji. Jeden ze znajomych księży, wiedząc, że nie mam Internetu w swojej celi i nie oglądam telewizji, zdziwiony zapytał mnie, co w takim razie robię w czasie wolnym i jak odpoczywam. Odpowiedziałem, że czytam książki. Na szczęście ciągle wydaje się dużo dobrej literatury, a każda książka, powieść, opowiadanie czy poezja, może być dobrym komentarzem do Biblii. Tego rodzaju konstatacja może nasuwać wnioski o czytaniu utylitarnym, czyli takim, podczas którego nie zatrzymuję się nad dziełem, ale chcę je od razu wykorzystać, co bynajmniej się nie dzieje, zatrzymuję się bowiem nad dziełem, ale staram się je traktować jako *ancilla*, służącą, podprowadzająca mnie pod sens, pod

to, co najważniejsze. Jeśli sztuka staje się jedynie zabawą formą, ekwilibrystyką języka, to przestaje mnie interesować, bo traci swój wymiar metafizyczny. Owszem, sztuka i literatura może być barometrem duchowej skorupy świata, jak pisał o tym ksiądz Szymik, ale może być też zaledwie ładnym ćwierkaniem w pustce (co w zasadzie też wiele mówi o twórcach i o świecie).

Tadeusz Gadacz, ekspijar, a obecnie mąż i filozof, pisał, że droga do mądrości jest naprawdę długa, my zaś żyjemy za krótko, by móc nabyć właściwego doświadczenia, a przez to mądrze rozeznać. Dlatego tak istotną rolę odgrywają dzieła literackie. Dzięki lekturze możemy przeżyć wiele rodzajów egzystencji. Cóż moglibyśmy wiedzieć o miłości, nienawiści, o uczuciach etycznych, gdyby nie zostało to sformułowane przez literaturę?

To prawda, literatura niesamowicie rozwija, wyczula na detale rzeczywistości, umożliwia wnikliwsze obserwacje i uczy opisywać świat. Bogu dzięki za literaturę, jednak chcę z całą mocą złożyć hołd Pismo Świętemu! Trawestując pewnego francuskiego filozofa, co tak naprawdę wiedziałbym o Bogu i człowieku, o miłości i odkupieniu, gdyby nie Biblia? Czym byłaby literatura, gdyby nie słowo wypowiedziane przez Pana i spisane przez natchnionych autorów?

Nie wiem, czy Noe czytał (zapewne nie było jeszcze bibliotek w jego zdegenerowanym świecie), ale na pewno jego serce było słuchające! Serce gotowe przyjąć słowo Boga. Biblia mówi, że w przyjaźni z Bogiem żył Noe. Nie mam dużej ilości przyjaciół, ale wiem, że aby przyjaźń mogła zaistnieć, potrzeba sporo czasu i wielu wypowiedzianych słów. Oczywiście niebełkotliwych i trywialnych, choć i takie są składnikiem godzin dialogów. Jednak przez to, co banalne, musi przebijać wewnątrz odkryte przed przyjacielem. Myślę o jednym takim człowieku i o tym, że z nikim tak jak z nim nie mam tylu odniesień do naszej przeszłości, do literatury, do wydarzeń, w których braлиśmy udział, z nikim nie mam tylu wspólnych kodów kulturowych, pojęć, za którymi stoi konkretna historia. Jeśli więc Noe był przyjacielem Boga, to znaczy, że wiele czasu musiał z Nim spędzać i wielokrotnie wsłuchiwać się w Jego głos, jeszcze niespisany, ale przecież przemawiający we wnętrzu, przemawiający przez natchnienia i pragnienia. Serce bliskie sercu Boga intuicyjnie poznaje Jego pragnienia i plany. Takie serce miał Noe. Abraham Heschel pisał, że to, co charakteryzowało proroków, ludzi bliskich Bogu, słuchających Go (większość z ksiąg prorockich rozpoczyna się od zdań typu: *Słowo Pańskie skierowane do...*), to uczuciowe doświadczenie będące centralnym punktem pojmowania

Boga. Prorok, pisze Heschel, *słyszał głos Boga i czuł bicie Jego serca*. Piękne zdanie. Bardzo mnie ono porusza i przypomina mi świętego Jana, który spoczywał na piersi Jezusa podczas Ostatniej Wieczery. Umiłowany uczeń czuł bicie Bożego serca.

Jeśli więc Noe był przyjacielem Boga, a jego imię tłumaczy się jako „odpocznienie”, to może był tym, w którym Bóg chciał odpoczywać, z którym Bóg odpoczywał? W jego obecności odpoczywał? Myślałeś kiedyś o tym, że możesz być tym, w którym Bóg zechce odpoczywać? Człowiekiem, w którym Bóg przebywa? Przecież jesteś Jego świątynią, w której On chce mieszkać i nie chce być w niej nieproszonym gościem, ale przyjacielem, Bogiem bliskim i czułym. On nie jest tylko Stwórcą i prawodawcą, ale Emmanuelem – Bogiem z nami. Masz na pewno takie przestrzenie w których chętnie przebywasz, miejsca, gdzie po prostu odpoczywasz, czujesz się dobrze. Mój brat ma mieszkanie w Toruniu z dużym salonem, z balkonem z którego można obserwować kamienice Bydgoskiego Przedmieścia. Bardzo lubię spędzać tam czas, siedzieć w fotelu, pić kawę i patrzeć na stare zabudowania, które cieszą, w odróżnieniu do architektonicznych potworów ze stali i szkła, wznoszonych przez panów deweloperów. Piszę o tym dlatego, że tak jak ty masz swoje miejsca odpoczynku, tak dla Boga upragnionym miejscem odpoczynku jest twoje serce. Dusze sprawiedliwych

to właśnie te, w których Bóg chce odpoczywać, w których sercach Bóg czuje się dobrze. Przyjaciel z przyjacielem, będąc razem, odpoczywają. Nie muszą udawać, zważać na to, jak siedzą, czy może nie do końca poprawnie trzymają dłonie na udach, czy rozstaw nóg nie jest aby nieobyczajny. Nie muszą składać rąk jak pogodynka czy polityk po kursie mowy ciała. Przyjaciel w towarzystwie przyjaciela czuje się swobodnie. Gdy przychodzi do ciebie ktoś obcy, to trzeba się nim zająć, ciągnąc czasem na siłę tematy, które być może żadnej ze stron nie interesują. Nad wyraz zaangażowana mimika i całe ciało chcą stworzyć atmosferę wzajemnego zainteresowania, nierzadko przy tym tłumiąc ziewanie. W takich spotkaniach jest wiele napięcia, mięśnie twarzy zaczynają pobolewać, nadwyrężone uśmiechem nieadekwatnym do uczuć i sytuacji.

Z przyjacielem jest inaczej. Chodzisz sobie po domu, czujesz się swobodnie, parzysz sobie herbatę, zaglądasz do lodówki, kroisz palcówkę czy ser, polegujesz na kanapie czy urzędujesz na balkonie. Z przyjacielem i u przyjaciela czujesz się jak u siebie. I w takiej relacji chce być z nami Bóg, w taki sposób chce z nami przebywać Pan, bez napinania się, chce być obecnym, kochającym przyjacielem. Tym, który jest oczekiwany, Tym, za którym się tęskni, Tym, którego obecności się pragnie. Prostota obecności!

W polskim tekście jest napisane: *w przyjaźni z Bogiem żył Noe*. Ale można to trochę inaczej przetłumaczyć: *z Bogiem chodził Noe*. Słowo HALACH – chodzić, występuje w Biblii wiele razy, między innymi w opisie raju, gdy Bóg *chodzi* po ogrodzie Eden, spaceruje sobie. Henoch, wielki patriarcha, który został wzięty do nieba (bo może Bóg chciał mieć go jak najszybciej u siebie, tak im było razem dobrze?), też *chodził z Bogiem*. Przypominam sobie teksty z głębokiej podstawówki, kiedy chłopcy pytali dziewczęta, i na odwrót: *będziesz ze mną chodzić?*. Czy nie jest to ciekawe, że takie słowa charakteryzowały wyjątkową bliskość małych adoratorów? Chodzimy ze sobą za rękę, chodzimy razem na bujaczki. No właśnie, ja chcę tak chodzić z Bogiem, patrzę na Niego i pytam: *Boże, będziesz ze mną chodzić?*. Brzmi to może niepoważnie, dziecinnie, ale mnie ten motyw przyjaźni, bliskości w prostocie bardzo porusza. Chcę chodzić z Bogiem. Chcę jeździć z Bogiem, chcę z Nim spędzać spacer i pić kawę, siedząc na klasztornej ławce. Łapać momenty, wykorzystywać czas, by posyłać Mu moje myśli, pełne tęsknoty za prawdziwym szczęściem i wiecznym spełnieniem. Przypominam sobie, jak kiedyś jechałem samochodem na rekolekcje wielkopostne. Samochód był pożyczony, bo w klasztorze mieliśmy epidemię motoryzacyjną. Jechałem więc dwudziestoparoletnim, prawie że

zabytkowym nissanem sunny w wersji *hatchback* (zadbany srebrny metalik, w dość dużym kontraście do nowych maszyn), a słońce zachodziło nad drogą S8. Modliłem się różańcem, słuchałem Biblii, słuchałem trochę muzyki, ale w pewnym momencie miałem dość dźwięków, dość mówienia. Wyłączyłem wszystko i do głowy przyszła mi myśl: „Boże, chcę podróżować w Twojej obecności, usiądź obok mnie w fotelu i jedźmy tak, nic nie mówiąc, ale ze świadomością bliskości”. I tak jechałem, jechałem pożyczonym nissanem sunny z Bogiem na miejscu pasażera. To była bardzo miła podróż. Prostota... Obcowanie z Tym, który jedyny prawdziwie JEST, a wtedy i ja mogę prawdziwie być!

Nieraz przed snem patrzę na ikonę Jezusa, którą mam przy łóżku, tak by ostatnia twarz, którą widzę, była Jego twarzą, i myślę sobie o tylu zmarnowanych momentach w tym dniu, o tylu bezpłodnych myślach, które nie znalazły swego ujścia w Nim, o rojonych pragnieniach, które od samego zarania były skazane na niezrealizowanie. Czuję, jak moje serce jest głodne Jego obecności, jak bardzo potrzebuje czasu spędzanego z Nim. Moje serce tęskni. Święta tęsknota w nieświętym mnichu. Czyli może trochę mnie uświęca? Tak. Tęsknota za Bogiem, jeśli jest właściwie skanalizowana, jest uświęcająca. Dlatego mam propozycję albo raczej przedstawiam pragnienie Bożego serca względem ciebie: nie bądź

tym, który „uwięził” Boga w kościele czy zamknął go w rezerwacie modlitw wieczornych. Bo On tam może być niczym dobry dziadzius w domu pomocy społecznej, z którym od czasu do czasu się zobaczysz. Mam dla ciebie propozycję, byś nie chodził „do Boga”, ale chodził „z Bogiem”, czyli wznosił ku Niemu swoje myśli i pragnienia. Psalm 87 mówi: *W Tobie są wszystkie me źródła* (Ps 87, 7), to znaczy, że wszelkie pragnienia, jakie trawia moje serce, są związane z Jego świętą obecnością, z przebywaniem z Nim. I w Jego obecności moje serce się uspokaja, zawsze się uspokaja, choćbym nie wiem jak wzburzony szedł na modlitwę, zawsze wracam uspokojony, wyciszony. Chcę być przyjacielem Boga jak Noe, nie Jego przedstawicielem handlowym, ale przyjacielem. Nie muszę się Go bać. Bojaźń, o której mówi Biblia, jest lękiem przed obrażeniem, zdradzeniem Jego miłości, a nie paraliżującym strachem. Jezus nie jest dyktatorem. Dyktator ma władzę nieograniczoną, a Jezus – ograniczoną. Wiesz, co Go ogranicza? Twoja wolność. Święta Katarzyna ze Sieny usłyszała: *Stworzyłem cię bez ciebie, ale nie zbawię cię bez ciebie*. Chodzi o twoją zgodę. Zgodę na Niego.

Proroctwo Izajasza zapowiadające nadejście Mesjasza, czyli nadejście bliskości Syna Bożego, która zrealizowała się we wcieleniu Jezusa, mówi tak: *Albowiem dziecię się nam narodziło, Syn został*

nam dany, na Jego barkach spoczęła władza. Nazwano Go imieniem: Przedziwny Doradca, Bóg Mocny, Odwieczny Ojciec, Księżę Pokoju. Wielkie będzie Jego panowanie w pokoju bez granic (Iz 9, 5). Mesjasz przyszedł, a obietnica Jego panowania bez granic chyba jednak wciąż się nie zrealizowała. Po lekturze Biblii i wnikliwej obserwacji świata, niestety, wnioskuję, że historia jest koszmarem, a skala ludzkiej korupcji moralnej jest znaczenie większa, niż wielu się wydawała. Można nazywać proroków fanatykami prochu i poetami klęski, którzy przepowiadali katastrofy, bo nie umieli przywiązać się do uspokajającej terażniejszości ani do żadnej przyszłości, ale to nieprawda. Bo terażniejszość nie daje ukojenia, wręcz przeciwnie – napawa lękiem. Historia jest łańcuchem wojen i zwycięstw, niepoliczonych śmierci i łez, dziwnym połączeniem odrobiny żalu z ogromem strachu. Nasz świat jest przesiąknięty krwią.

Czy w takim razie powyższe proroctwo Izajasza jest proroctwem od czapy, proroctwem niespełnionym? Patrząc na nasz świat nakręcony spiralą chciwości i egoizmu, można przekreślić słowa Juliana Apostaty i powiedzieć: *Galilejczyku, przegrałeś.* Szumne proroctwo zapowiadające nadejście Księcia Pokoju może wywołać pełen goryczy uśmiech. Zabójstwa, śmierć, wojna... Ale proroctwo się nie myli, to są pozorne porażki, inwazja Mesjasza nie

dotyczy ustrojów czy społeczeństw, ale serc ludzkich. Bo Jego panowanie jest wielkie w sercach, które Go przyjęły. Ta obietnica pokoju bez granic dotyczy duszy człowieka, która nie stawia barier Panu, nie blokuje Go szlabanami. Możesz Bogu wyznaczyć rezerwat w postaci wieczornej modlitwy, a przez resztę dnia o Nim nie myśleć, nie szukać Go i nie pragnąć. Niedzielna msza święta i chwila modlitwy, a reszta to mój prywatny czas, w którym nie ma miejsca na kogoś innego, bo szczelnie wypełnia go moje *ego*.

Od wielu lat mam nieodparte wrażenie, że ktoś mnie oszukuje. Że ktoś nie mówi mi całej prawdy, ale przedstawia mi prawdy rozmyte. Ideał zakonny, ideał chrześcijański jest brutalnie zaniżany. Tak rzadko można usłyszeć o ogniu Ducha, o radykalności w pójściu za Panem, o mentalnym kopniaku wymierzonym w kompromisy, o świętości człowieka, która jest przecież upragniona przez Boga Ojca! Jakiś czas temu rozmawiałem z proboszczem, który opowiadał o diecezjalnym spotkaniu i na tym spotkaniu padły słowa z ust kościelnego ważnego ktosia, słowa w obecności pasterza tej diecezji, które miały być odpowiedzią na pewne przebąkiwania mediów o kryzysie kapłanów. Słowa, które zostały wypowiedziane w kontekście wielu kapłańskich odejść, i to odejść młodych księży. Parafrazując, brzmiało to mniej więcej tak: *Ważne,*

by księża odmawiali brewiarz i modlili się różańcem. I to miało być duchowe lekarstwo. Powyższe praktyki są jak najbardziej ważne i błogosławione, ale czy to naprawdę wystarcza? Czy wystarczy po prostu wypełniać modlitewne prawo? A co z żarliwą i zazdrosną miłością Pana o moje serce, a co z wołaniem o to, by nie dać się przeciętności i nie wejść w szarzyznę ducha, która nikogo nie może zaspokoić? Gdzie ogień? Joseph Ratzinger pisał, że Kościół nie potrzebuje reformatorów, ale świętych. Tak, Kościół potrzebuje świętych kapłanów i zakonników, świętych małżonków i świętych samotnych! Święci nie tylko pracują dla Pana, ale też odpoczywają w Panu, chodzą z Panem. Nawet coś tak prozaicznego jak spacerowanie można przeżywać w Nim. Jak Noe.

Od lat proszę Boga o świętość, a im dłużej Go o to proszę, spotyka mnie coraz więcej upokorzeń i więcej cierpień. Moja karta chorobowa się rozrasta, może taka droga, droga przez cierpienie, ścieżka utraty zdrowia dla Boga? Niemniej jednak chcę płonąć, nawet jeśli będzie to płomień na pustyni, płomień, który będzie jedynie mnie boleśniej wypalał. Uważam, że do Kościoła wdarła się „drobnomieszczańska Ewangelia”. Począwszy od postrzegania tego, kto jest dobrym katolikiem. Ile razy słyszałem z kapłańskich czy świeckich ust, że ten czy tamta to porządny katolik, bo w niedzielę

jest w kościele na mszy i przychodzi nawet na *nabożeństwa majowe*. Ale przecież za tym może stać zupełne NIC. Nasze społeczeństwo jest już od wielu lat społeczeństwem konsumpcyjnym, społeczeństwem na wskroś drobnomieszczańskim. Dotyczy to tak samo chrześcijan. Pisząc „drobnomieszczaństwo”, nie mam na myśli małych miasteczek, bo drobnomieszczańinem można być w Warszawie czy w Katowicach i w Wągrowcu czy w Drobinie. Wartości typu drobnomieszczańskiego są następujące: w pracy i poza nią być uczciwym, mieć mieszkanie, może nawet dom, samochód (najlepiej toyotę w systemie hybrydowym – modna, mało pali, elegancka, numer 1 w kosmosie), być wiernym żonie, nie kraść i nie zabijać, mieć ułożone dzieci po studiach (córka i syn, komplecik). No i oczywiście zdrowie, bo to jest najważniejsze. Byle nie chorować. I to jest Dobra Nowina wielu matek i ojców dla swoich dzieci. Rzeczywiście, piękna i głęboka i do tego jeszcze utożsamiana z chrześcijaństwem. Ale to nie jest chrześcijaństwo. Jak często można spotkać ojca czy matkę, którzy mówią swoim dzieciom: *śłuchaj, ucz się, pracuj, to jest ważne, ale najważniejsze jest, byś trzymał się Jezusa, nieważne, kim będziesz w życiu: lekarzem, robotnikiem, ważne, byś żył z Jezusem, słuchał Jego słowa i żył w łasce uświęcającej, pamiętaj, że największym nieszczęściem jest grzech, szczególnie grzech ciężki.*

Słyszałeś to w domu? Jeśli tak, to znaczy, że miałeś chrześcijański dom. Niestety, z doświadczenia wiem, że taki przekaz stanowi rzadkość.

Kościół w wielu miejscach, w wielu przestrzeniach stracił ogień Ducha Świętego, stracił gorliwość, przestał żarliwym sercem zabiegać o Boga. Ilekroć słyszę, jak niektórzy „ludzie Kościoła”, którzy bardziej niż głosicielami Dobrej Nowiny są socjologami albo, co gorsza, politykami, w których ustach jest pełno okrągłych, nic nieznaczących słów o uprzejmości, szeroko rozumianej dobroci, tolerancji i łagodności, tylekroć irytuję się. Co to znaczy? Co w ogóle oznaczają te hasła, wypowiedziane ciepłym, zatroskanym głosem? Czy za nimi coś stoi, czy może są tylko pustosłowiem, które uspokaja ludzi jeszcze nie do końca pozbawionych sumienia? Czy nie jest to tylko filantropiczny moralizm, będący kpina z ostrza Ewangelii, ośmieszający krzyż Chrystusa? Czy naprawdę głównymi problemami świata są ekologia i globalne ocieplenie?

Czy nie jesteśmy świadkami „modernizacji nieba”? I czy to nie oznacza jego końca? Jak mam czcić Boga, który ewoluuje? Jak mam czcić Boga, którego kroją mi na miarę najnowszej mody? Czy naprawdę trzeba czuć lęk przed metką zacofania?

Wolę „trącić myszką” przy Chrystusie, niż przeżywać się jak lew w salonie demoralizacji. Wiele zamieszania wynikło w związku z jednym fragmentem,

właściwie przypisem, do adhortacji *Amoris Laetitia* odnośnie komunii świętej w sytuacji osób rozwiedzionych, będących w ponownych związkach. Wiele diecezji na całym świecie, bez jasnej aprobaty papieża, wprowadziło do swych lokalnych praw grzeszne reguły. To skandaliczne! Jak zrozumieć Boga, Jego wolę i Jego mądrość, jeżeli coś, co przez wieki było wielką świętością, świętością nierozzerwalną, teraz ktoś wysoko postawiony w Kościele zaczyna podważać? Gdzie my jesteśmy? Wczoraj to był grzech, ale dziś już grzechem nie jest? Kościół musi nadążyć za światem, towarzyszyć mu, a skoro dziś niewierność i ilość rozwodów jest zatrważająca, to trzeba trochę nagiąć reguły? Zmodernizować niebo? Tłumacząc przy tym, że Chrystus nie był i nie jest wielkim kazuistą? Nie jest, ale prawda jest prawdą, a termin *postprawda* nie dotyczy Ewangelii. Aktualizacja Dobrej Nowiny, czyli uwspółcześnianie jej, przekaz Kościoła, cała tradycja, zgodnie z tym, co stwierdził Bernard Sesboue realizuje się we zwrocie: *to znaczy*. To Ewangelia przełożona na problemy dzisiejszego człowieka, tak jak listy świętego Pawła były reakcjami na zamieszania w młodych gminach chrześcijańskich. Nigdy jednak nie wiąże się z negacją prawdy zawartej w Biblii. Ona, odczytywana od wieków, nie może się nagle zdezaktualizować. Kościół musi być stanowczy w wielu sprawach,

a stanowczość nie oznacza wcale braku czułości ani delikatności. Kościół potępia grzech, nigdy jednak grzesznika, głosząc mu niestrudzenie, że zbawienie jest łaską, a nawrócenie jest możliwe dla każdego!

Kiedyś toczono boje z herezjami, narażając przy tym swoje życie, a teraz mielibyśmy płynnie i swobodnie przejść do nieprawdy z błogosławieństwem niektórych hierarchów? Całe pokolenia kobiet i mężczyzn, nierzadko w ciemnościach i zmaganiu, walczyły o wierność sakramentowi małżeństwa, aby teraz usłyszeć, że to w sumie nie ma większego znaczenia? Czy to nie jest przypadkiem ten cholerny relatywizm, przed którym przestrzegał nas papież Benedykt XVI? Zachwianie prawdy przy akompaniamencie diabelskiego śmiechu? W Pierwszej Księdze Królewskiej jest bardzo przejmujący fragment, kiedy Eliasz staje naprzeciw wielkiej grupy pogańskich proroków i woła do swojego ludu: *Jak długo będziecie się chwiać w obie strony? Jeśli Jahwe jest prawdziwym Bogiem, to Jemu służcie, a jeżeli Baal, to służcie jemu* (1 Krl 8, 21). Chcę być jak prorok Eliasz i wobec wielu proroków, tysięcy proroków Baala we współczesnym świecie, także proroków w sutannach i habitach, tych, którzy uspokajają lud, nie głosząc mu Ewangelii, tylko filantropię, tych, którzy odwrócili się od Jezusa, by wchodzić w relatywizm i głosić ewangelię kompromisów. Precz z paktowaniem z diabłem. Święty Jan

Paweł II pisał: *Dziś mamy do czynienia z największą walką, jakiej kiedykolwiek ludzkość doświadczyła. Nie sądzę, by wspólnota chrześcijańska zdawała sobie z tego w pełni sprawę. Dziś znajdujemy się w obliczu ostatecznej batalii między Kościołem i Anty-Kościółem, pomiędzy Ewangelią i Anty-Ewangelią. Z kolei kardynał Sarah głosił, że prawdziwym zgorzzeniem jest pomieszanie dobra i zła z winy katolickich pasterzy. Biada nam, gdy nie głosimy Ewangelii, lecz próbujemy układać się z duchem tego świata. Paweł do Galatów pisze bardzo mocno: *Innej Ewangelii nie ma: są tylko jacyś ludzie, którzy sieją wśród was zamęt i którzy chcieliby przekreślić Ewangelię Chrystusową. Ale gdybyśmy nawet my lub anioł z nieba głosił wam Ewangelię różną od tej, którą wam głosiliśmy – niech będzie przeklęty!* (Ga 1, 7–8).*